

PROMIEN

„I tyle tęcz zapalił na swem niebie,
Ileś za młodu życia wchłoniął w siebie.”

Miesięcznik dla młodzieży

wydawany przez **Komitet Wydawnictwa towarzystw gimnazjum
męsk w Ostrowie Wlkp.**

Naczelnny redaktor **Lech Rowiński (kl. VII)**

Rok II.

Marzec 1927

Nr. 4.

O spółdzielczości wśród młodzieży.

Idealem dzisiejszych stosunków gospodarczych jest kooperatywa, czyli spółdzielnia. Zapoczątkowana w Anglii, zakorzeniła się tam i jest niezastąpioną niczem podstawą bytu gospodarczego. Ogólna zasada spółdzielni, to obywatnie się bez pośredników: „własne sprawy we własne brać ręce”. Celem jej z natury rzeczy jest obniżenie cen artykułów, a osiągnąć bywa, rzecz prosta, przez to, że towar, przechodząc z hurtowni bezpośrednio w ręce konsumentów, jest tańszy o cały zysk, który w innym wypadku dostaje się pośrednikom. To byłby zarys ogólny.

Wiadomo, że spółdzielnie istnieją nie tylko w społeczeństwie lecz i w szkole. Na pierwszy plan wysuwa się tutaj zwyczajny skład artykułów piśmiennych utrzymywany przez uczniów, skład którego kapitał zakładowy stanowią udziały wszystkich kolegów-klientów. Jest jednak jeszcze jeden rodzaj spółdzielni; mianowicie, samorząd klasowy czy szkolny. Tu już jednostka zbiorowa, jaką jest klasa i szkoła nie składa kapitału w dosłownem znaczeniu, a kapitał moralny. Wspólnymi siłami, powagą liczby, powagą stowarzyszenia rozszerza i ugruntowuje w sercach wszystkich współkolegów idee braterstwa, koleżeństwa, i harmonji w życiu wspólnem. U nas niestety samorząd dotąd jest nieznan. I z pewnością: niechby tak ktoś odważył się go propagować, spotkałby się z kpinami. A samorząd nietylko, że ćwiczy poczucia odpowiedzialności, lecz jest współpracownikiem naszych wy-

chowawców. Weźmy pod uwagę choćby czystość sali szkolnej i zachowania się w klasie. Przy dobrym rozwoju samorządu, postęp w tej rzeczy będzie wynikiem już nie nakazu i dyscypliny, lecz poczucia honoru, poczucie, iż czynem swoim, złym i karygodnym plami się godność nie swoją tylko, a całego plenum koleżeńskiego. Pokróćce tylko przedstawiając korzyści samorządu, umyślnie artykułu nie kończę, a pozostawiam kwestję otwartą. Może Czytelnicy zajmą głos w tej sprawie, a może towarzystwo jakie gimnazjalne da konkretną inicjatywę samorządu koleżeńskiego..

P. J. P.

Na naszym podwórku.

Niedawno miałem sposobność rozmawiać z jednym z kolegów kierujących wydawnictwem „Promienia”. Chcę się podzielić z Wami czemś w rodzaju wywiadu, który jak się można spodziewać, pierwszy raz w życiu mam do skreślenia.

Zacynając tedy rozmowę zapytałem: — Jakże Wam przychodzi zadanie wydawania „Promienia” stosownie do czytelnika i teraźniejszych warunków?

— Trudno oczywiście uderzyć w stronę odpowiednią do tonu serc młodzieży. Nasze piśmko jednak musi być wyrazem myśli i dążeń młodzieży gimnazjalnej, jej tedy zadaniem jest dać od siebie to wszystko, co szlachetnego posiada, na złożenie wspólnego, tak przecież pięknego i silnego objawu życia. Brak więkzszego przychywu myśli szerszych kół młodzieży, nie pozwala na całkowite przeprowadzenie tego programu.

— Czyśby brak było artykułów? Słyszałem, że od koleżanek dostaliście aż jeden..

— Dobrych artykułów nigdy nie jest za dużo, a ze strony ogółu nie ma ich prawie wcale, to też na wszelki wypadek mamy stałych współpracowników.

— A jak się przedstawia byt Promienia, jego materialna strona?

— Mówi kolega o położeniu finansowem? — Właściciel to mogłoby się zdawać, że nie powinniśmy mieć prócz trudności redakcyjnych żadnych innych. Ale jak tu myśleć tylko o doskonaleniu piśmka, gdy musimy ciągle walczyć o zapewnienie mu istnienia materialnego? Kiedy prosić musimy tę młodzież, której „Promień” własnością być powinien, o to, żeby raczyła kupić lub subskrybować jeden numer?!

— A więc jest źle?

— Tego nie można powiedzieć, ale aby piasek mogło egzystować w całym tego słowa znaczeniu, musi się rozchodzić w 500—600 egzemplarzach, mieć przynajmniej 500 abonentów. A my dotychczas drukujemy 350 egz., mając tylko 220 abonentów. Na szczęście reszta nakładu rozchodzi się prosto dzięki wpychaniu do rąk—

— A zatem?

— Zatem trzeba przedewszystkiem zapewnienia bytu materialnego. Dotychczas trzymamy się wytężoną pracą, ale wszelki postęp w wydawaniu pisma zależy od zwiększenia jego nakładu, eo się daje osiągnąć przy większym popycie.

— Ciekawym, widząc pracę dla „Promienia“, jak też ona jest zorganizowana?

— „Promień“, jak wiecie, wydawany jest przez Komitet Wydawnictwa. To ogólnie. Komitet zaś złożony jest z prezesów towarzystw gimnazjalnych i z wydawnictwa (prezydium, redakcja, i administracja), a przewodniczy mu dyrektor wydawnictwa, który kieruje całością.

— Z kogo się składa Wydawnictwo, ta, jak myślę władza wykonawcza?

— Wydawnictwo składa się z dyrektora, redaktora, sekretarza, skarbnika i nac. kolportera i jak zauważyliście stanowi faktycznie bezpośrednią kuźnię „Promienia“.

— Nie mówiliśmy właściwie o abonentach?

— Ach, pomijając już gimnazjum męskie, w innych szkołach jak gimnazjum żeńskie, szkoła handlowa i wydzielona, jest ich stanowczo za mało.

— Życzylbym Wam nie 500, a 1000 abonentów. Ale jakie macie plany na przyszłość?

— Spodziewając się spełnienia Waszych życzeń, powiększamy konsekwentnie nakład do 400 egzemplarzy. Reszta będzie zależała od całej młodzieży — naszych kolegów i czytelników. A Wy cóż teraz robicie?

— Rozglądam się po naszym podwórku i widzę że u nas pod wielu względami panują „ciekawe“ stosunki. Wpadło mi na myśl czyby też tego cośmy mówili nie napisać pokrótce do „Promienia“?

— A żeby Was... (Tylko nie o mnie. Zresztą piszcie, piście, piszcie... nie tylko Wy, ale kto może i umie wydobyć coś ładnego

Sciolla.



Wiosna idzie...

I splomieniona w słońcu przyjdzie wiosna
 Trzymając w rękę wiązkę kwiatów z tęczy,
 W wietrze melodją tehnień cicho zabrzączy
 I dzierzgać pocznie swoje złote krosna...

W cudną się szatę przystroi świat cały,
 Gdy ona przyjdzie i do ust przyłoży
 Puchar, co radość zawiera — dar Boży...
 Gdy ona przyjdzie, sad zapłonie biały...

Już idzie!... Na pola, na gleby czarne
 Wskroś wskrzesza ze snu, dla wszystkich bogata
 Wkoło rozdaje uśmiechy figlarne...

Szepcą radosną tę nowinę drzewa,
 Że wiosna wszystko ze szczęściem tak brata,
 Że serce ludzkie przemożna rozśpiewa!...

A. Chaton d'Emi.



Stosunek dziejowy Polski do morza.

Pomimo zaniedbania przez przodków naszych sprawy morskiej dzieje nasze posiadają karty, które świadczą o zdolnościach naszych na tem polu, oraz wołają na głos cały, ab śmy tych zdolności nie zmarnowali. Chcąc jednak iść za tem wołaniem, trzeba znać dzieje naszego stosunku z morzem, poznajmy więc go choćby kronikarskim sposobem.

Wiek XI. Bolesław Chrobry, chociaż na krótko, poraz pierwszy przyłącza Pomorze do Polski, około 1000 r.

Wiek XII. Już na dłuższy czas przyłącza Pomorze do Polski Bolesław Krzywousty, który w celu zdobycia i utrzymania w zależności Pomorza prowadzi wojny niemal przez całe swe panowanie 1102—1130. Bolesław IV. Kędzierzawy traci na rzecz Niemiec kraje zaodrzańskie i Pomorze zachodnie aż po Persantę; odtąd do Polski należy tylko Pomorze kaszubskie i gdańskie.

Wiek XIII. Na mocy zapisu ostatniego księcia pomorskiego Mszczuja II., otrzymuje polskie Pomorze w r. 1295 Przemysław, książę wielkopolski, który po przeszedł dwuwiekowej przerwie znów koronuje się na króla polskiego, 1295.

Wiek XIV. Władysław Łokietek, broniąc Pomorza przed Brandenburczykami, zwraca się o pomoc do Krzyżaków. Ci pomogli wprawdzie do wyparcia najeźdźców, lecz następnie sami opanowali miasta Gdańsk i Tczew, wycięli ich mieszkańców i cały kraj zrabowany i zniszczony dla siebie zabrali, 1309. W traktacie kaliskim z r. 1343 Kazimierz W., zmuszony okolicznościami, zrzeka się na rzecz Zakonu Pomorza.

Wiek XV. Zwycięstwo pod Grunwaldem, 1410, aczkolwiek łamie potęgę krzyżacką, to jednak nie przywraca Pomorza Polsce.

Dopiero zwycięska wojna trzynastoletnia, zakończona pokojem toruńskim, 1466, zmusiła Krzyżaków do oddania nie tylko Pomorza, ale i zachodniego pasu Prus z Malborkiem i Elblągiem, tudzież Warmji i Ziemi Chełmińskiej.

Wiek XVI. Tworzenie polskiej floty handlowej i wojennej (Kaprowie) na Bałtyku (polityka morska Zygmunta Augusta, Stefana Batorego i Zygmunta III. Wazy) i skutkiem tego zatarg z Gdańskiem, Szwecją i Danją.

Wiek XVII. Polskie nadmorskie warownie, stocznia w Pucku. Zwycięstwa morskie (Oliwa). Władysław IV. stara się wznowić wielką ideę morską Chrobrego, sejm odmawia

mu jednak poparcia, stąd odcięcie ponowne Polski od morza, blokada gospodarcza i polityczna.

Wiek XVIII. W pierwszym i drugim rozbiórce tracimy dostęp do morza.

Dziś chociaż posiadamy bardzo mały skrawek morza, to jednak nie może się ono uskarżać na brak zainteresowania — odnosi się nawet wrażenie jakgdybyśmy chcieli morzu wynagrodzić zapomnienie, którem grzeszyliśmy względem niego za czasów dawnej Rzeczypospolitej. Zaniedbanie sprawy morskiej już się raz na nas okrutnie zemściło, bo było jednym z powodów, dla których utraciliśmy naszą wolność, ponieważ zaś widzimy, że dzisiejsza Polska nie kroczy w tej doniosłej dla niej sprawie śladem dawnej, możemy być więc pewni trwałości bytu i potęgi naszej odrodzonej Ojczyzny.

Ig-Mar.



Z teki wzorowych wypracowań.

Każdy człowiek znaczy w życiu tylko tyle, ile sam chce znaczyć. Jeżeli będzie chciał mieć znaczenie większe, musi pracować z miłości dla danej sprawy. „Z rozumną myślą i celem, świadomym siebie“ musi się oddawać swej pracy. Jeżeli w jego czynach nie będzie zrozumienia celowości pracy, jeśli nie będzie jej świadomości w jego umyśle, praca jego nie będzie miała znaczenia ogólnego i znów wartość człowieka, zależną od czynów jego, stawiać będziemy nisko, natomiast wartość celowo pracującej jednostki przedstawić się będzie nam w blasku jasnym, gdyż myśl zrodzona na gruncie rozumu, rozumną być musi.

Niechaj prace nasze dążą do z góry już powziętego celu, niech nie odbiegają od drogi raz im wyznaczonej. Kiedy będziemy kroczyli drogą naszego życia świadomi celu naszej pracy, celu wykwitłego na gruncie naszego rozumu i miłości naszej, osiągniemy

owoce chlubne, które się objawia w nas pod postacią szlachetności, tak ważnego czynnika życia naszego.

Szlachetność to cel, do którego dążyć powinniśmy. Ona bowiem przyczynia się do tego, że prace nasze wykonujemy nie dla względów osobistych, nie dla zaspokojenia naszych pożądań i chęci, ale uwzględniając dobro bliźnich naszych, nieraz nawet własne wygody złożymy w ofierze dla otoczenia, aby tylko jemu pomóc w czemkolwiek według naszej możliwości. Widzimy więc z tego, że szlachetność rodzi się z miłości czystej i wzniosłej.

Tak więc przedmiot naszej pracy musi być przedmiotem miłości naszej. Bez ukochania pracy nie dojdziemy do jej owoców, gdyż obojętność do pracy przeszkadza nam w jej wykonywaniu.

Kiedy przedmiot ukochany, wykonamy go z całą dokładnością i drobiazgowością, która nawet w jego wykonaniu nie będzie nam sprawiała wielkiej trudności. Dowód na to mamy w każdej dziedzinie wiedzy. Człowiek, który się dokładnie zastanawia nad raz powziętym zamiarem, wykona go i będzie z niego zadowolony. Dojdzie bowiem drogą skrupulatnych badań do nowych i ciekawych wyników, do pewnej prawdy, która mu daje największe zadowolenie i radość.

Nie przytoczę tutaj wielkich potentatów wiedzy i nauki, pomnę wielkich odkrywców prawd naukowych, gdyż poco mam szukać daleko, kiedy w naszym szkolnem życiu można dobrze zauważyć, że jednostki pracujące z oddaniem się na polu zdobywania początkowej swej wiedzy, dochodzą do pewnych wyników tylko skrupulatną pracą. Chociaż czasem dołności nie dopisują, to jednak uczeń, drogą ustawicznego i systematycznego wykonywania swych obowiązków, aktywny z rad i nauk udzielonych mu przez wychowawców, a to tylko dzięki miłości, jaką żywi ku nauce. Jednostki zaś obojętne na przedmiot wiedzy, wypełniają swoje obowiązki niedokładnie, z brakami i niedomaganiem, a to tylko dlatego, że nie pokochali nauki „z myślą rozumną i celem, świadomym siebie“.

Sędzią wszystkich naszych prac powinien być zdrowy, krytycznie na świat patrzący rozum. Ten bowiem nie będzie nam pozwalal na czyny, któreby przyniosły szkodę naszemu otoczeniu. Srogo nas będzie karcił za nasze przewinienia, któreby były wynikiem powierzchownego zastanowienia się nad sprawą, godną głębszego wniesienia w treść. Każda, najdrobniejsza nawet czynność nasza, wymaga przemyślenia i świadczy ona o charakterze jej wykonawcy. Gdyby wielcy myśliciele nauki nie zastanawiali się nad

wszystkiem, nie by'oby tego ogromnego postępu, do którego ludzkość doszła.

Zrozumiałą stanie się teraz dla nas wartość gruntownej pracy. Jest ona naszą koniecznością, ciężarą nad nami jak owe nieszczęsne starożytno „fatum“.

Od wykonania też pracy zależy wartość człowieka. A dobrze wykonać możemy prace i obowiązki nasze tylko wtenczas, kiedy będziemy świadomi celu i życia naszego, kiedy te prace i obowiązki będą wypływem rozumu naszego i naszej miłości.

Słusznie też za Henrykiem Sienkiewiczem powtórzyć możemy a nawet musimy:

„Jako światło ze słońca, tak szczęście z miłości wypływa“.

Gh-n-Rhiet.

Narodziny „Promienia“.

Poprosiłem raz kol. redaktora naszego pisemka, aby zechciał „zademonstrować“ mi narodziny „Promienia“. Spotkałem się odrazu ze zgodą na mój projekt. Idziemy więc do drukarni. Wchodzimy najpierw do wielkiej sali obstawionej wokół pulpitymi. Przy każdym pulpicie stoi pracownik i wybiera coś skrzętnie z przegródek pulpitu. Zdziwiony zwracam pytający wzrok na mego „cycerona“. Kolega redaktor odrazu pośpiesza z wyjaśnieniem — że pulpity te, właściwie zwane „regalami“ służą do umieszczenia głosek odłowionych. Są one poroździelane według abecadła w poszczególne seufładach, zwanych z niemieckiego „kasztami“. Kaszty te mają masę przegródek w których są poszczególne głoski danego abecadła. Z tych to drobnych przegródek, zecer ma za zadanie wyjąć głoski i z nich układać wiersze artykułu. Wiersze układane jeden pod drugim tworzą „łame“. Łamy te kładąc w odpowiednią prasę odbijają się na próbę i robi się korektę. Błędy nakreślone na korekcie zecerzy poprawiają i robią odbitkę. Skoregowane już łamy specjalny pracownik zwany „metrampaz“ „łame“ czyli rozdziela na poszczególne strony w piśmie. „Polamane“ artykuły transportuje się z „zeczerni“ do właściwej „drukarni“.

— Słucham tych wyjaśnień po prostu ze zdziwieniem. Takie więc są początki narodzin pisma? Tyle mozolnej pracy na to się składa?

— Złaje mi się — przerywając mi myśli odzywa się mój cicerone — że właśnie maszynista przygotowuje maszynę do druku, łatwiej więc będzie objaśnić koledze dalsze losy łamów w drukarni.

Przechodzimy więc do sali maszyn.

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć — pięć maszyn! Te... te wszystkie maszyny są potrzebne do druku gazety? — Zdumiałem się.

Uspakaja mię redaktor: Niech kolega „dęba nie staje!“ Jedna tylko maszyna jest konieczna do operacji wydrukowania gazety. Proszę się bliżej przypatrzeć. Widzi kolega tę maszynę — o proszę, tu jest platforma, na którą maszynista układa artykuły poukładane już na strony. Trzeba tu bardzo kombinować, aby po odbiciu artykułów na papier strony następowały kolejno. Lecz samo ułożenie nie wystarczy. Przy ruchu bowiem platformy i nacisku walców z farbą, głoski powyskakiwałyby, lub co gorsza zgnicłyby się. Umocowuje się więc je ujmując wszystkie złożone artykuły w żelazną silną ramę, silnie do platformy przyczepioną za pomocą automatycznych „klinów“. Teraz, na chwilę maszynista puszcza maszynę w ruch, i odbija numer próbny. Numer taki nazywa się „rewizją“, gdyż bada się czy dobrze jest odbity i czy niema jeszcze błędów. Po poprawie znalezionych usterek, odbija się drugą rewizję i gdy ta jest bez błędu gazeta może już być drukowana.

Już może być drukowana — powtarzani ze zdziwieniem. Nagle dał się słyszeć ogromny stukot, od którego poprostu uszy pękały.

— Kolego! Cóż ten maszynista tam przy maszynie wyrabia. Widzę, że uderza z wielkim łoskotem młotkiem w głoski — a przecież ołowiane głoski napewno na tem ucierpią.

— Nie ma obawy — odpowie mi na to mój „cicerone“ — maszynista głoskom nic złego nie zrobi! Proszę zobaczyć, że jego drewniany młotek bije w głoski pośrednio przez nakładkę z drzewa dobrze wybitą miękką skórą.

— No dobrze — ale co za sens tej roboty?

— Zraz, zaraz to wyjaśnię. Otoż często mimo starannego układu głosek one dobrze nie odbijają na papierze i nie jednako wyrażnie. Za pomocą więc tej deseczki wyrównuje się głoski, i tworzą jedną płaszczyznę. Po skutecznieniu tego śmiało już można zacząć numer drukować.

— Czy to już wszystko, czy to już narodziny pisma?

— Formalne to już są, ale żeby numer mógł ukazać się „światu“ musi otrzymać jeszcze pewną oglądę. Oglądę tę dostaje w „falcowni“ gdzie to odbywa się składanie całego arkusza wydrukowanego w po-

ładany format — czyli odbywa się „falcowanie“. Dopiero teraz można ze spokojnem sumieniem gazetkę puścić w świat (nawiasem mówiąc mały, bo obejmujący tylko gimnazjum męskie i częściowo żeńskie. Oby się powiększył!)

Po tylu dopiero tarapatach — myślałem — egzemplarz gazetki jest odpowiedni aby się dostać do rąk czytelnika! Ach, zapewne ani naszej nadobnej Czytelniczce ani pilnemu Czytelnikowi nie przyjdzie na myśl, że tyle czasu i wysiłku potrzeba na wydanie „Promienia“. Serdecznie podziękowałem koledze redaktorowi za dane mi objaśnienia.

Po wyjściu z drukarni od razu ześwitała mi myśl, aby moją „turytyczną wyprawę“ opisać i w ten sposób przysłużyć się „Promieniowi“ jako i wywdziękując się kol. redaktorowi za doznaną od niego przysługę.

Corylus.

Z hufca gimnazjalnego.

W hufcu naszym, założonym niedawno, bo dopiero w końcu r. 1925, postęp pracy staje się coraz wyraźniejszy. Koledzy pracują w hufcu bardzo intensywnie, okazując przez to dużo zrozumienia dla sprawy wojskowej.

Hufcem kieruje założyciel jego p. prof. Cudny wraz ze swym „astabem“, do którego należą: hufcowy Zydorowicz i drużynowi: Rowiński, Gilariski i Kosal.

Ćwiczenia wojskowe, jak: szermierka, strzelanie, ćwiczenia bronią, ćwiczenia polowe etc. etc., są dla młodzieży pełne uroku i dla prawdziwych zuchów rzerokiem polem do popisów. Mogą w nich wykazać swój spryt, odwagę, zgrabność a nawet umiejętności (np. matematyczne przy strzelaniu z armat — nawiasem mówiąc ćwiczenia te są dopiero w projekcie —).

Ćwiczenia te postanowił p. prof. Cudny jeszcze bardziej urozmaicić, oto co za niespodziankę nam zgotował: Pewnego pięknego dnia p. prof. Cudny przyszedł na zbiórkę hufca z bardzo tajemniczą miną i, po długim wstępie oraz bardziej nas zaciekawiając, oznajmił że, w nagrodę za solidną pracę, na zachętę etc. etc., zostanie urządzony dla hufca naszego kurs konnej jazdy przy 20 p. a. p. Wiadomość tę prysyjęliśmy ze zrozumiałym zachwytem i już w najbliższą sobotę 15 szczęśliwych wybrańców, o marsowych obliczach. i w butach, stawilo się w koszarach przy ul. Kolejowej. Nie od razu jednak dano nam konie. Dla zaspokojenia naszej ciekawości pokazano nam

jedno z tych szlachetnych stworzeń i na nim uuczono nas podstawowych wiadomości o koniu, o maściach i pokazano nam jak się odbywa siodłanie konia. Na tem zakończyła się pierwsza lekcja, którą prowadził p. major.

W następną sobotę wszyscy stawili się w komplecie. W dniu tym już każdy z nas otrzymał konia, którego sam musiał osiodłać. Wreszcie wyprowadziliśmy rumaki na dziedziniec i... rozpoczęła się jazda. Wtedy zgodnie stwierdziliśmy, że to wcale nie tak łatwo jeździć konno. Gdy jechaliśmy stępa, to jeszcze pół biedy, ale gdy przyszła komenda: „klusem“, to każdy drżał w sercu (czasem drżenie te przeszło na kolana), aby nie podpaść pod bystre spojrzenia srogięgo „magistra equitum“. Głos jego ścigał każdego z nas; ciągle gromił słowami:

„Nie wypuszczać strzemion!“ — „Prosto siedzieć!“ a gdy kto przypadkowo znalazł się na karku konia, wołał: „Nie wylatywać z siodła!“ — „Na os... , a nie na koniach jeździć!“

Prawie podczas każdej lekcji mieliśmy jakieś urozmaicenia. Nieszczęsny był dzień dla tego, który popadł pod szczególną kuratelę p. majora. Pewna sobota była szczególnie pechowa dla jednego z kolegów. W dniu tym p. major był w niebardzo dobrym humorze, to też z ciekawością czekaliśmy kto będzie dzisiaj ofiarą; wreszcie los padł i... zaczęło się:

„Ależ panie, jak pan siedzisz na koniu?“ — mówi major do jednego z nas — „skąd się pan tu wziął?“ — „jak się pan nazywa?“

Zagadnięty odpowiedział, lecz, ponieważ było to w krytej ujeżdżalni, pan major nie zrozumiał:

„Jak, Gały?“ —

— „Nie...!“ brzmiała odpowiedź.

„Mały?“

— „Nie...!“

A gdy wreszcie srogi magister dowiedział się prawdziwego nazwiska, całą godzinę nękał nieszczęsnego.

Po kilku „szarych“ lekcjach, znowu nastąpiła jedna barwniejsza sobota. Oto podczas tej lekcji jeden z koni, nie czując silnej dłoni jeźdźcy, wysunął się z szeregu i, mimo rozpaczliwych ruchów jeźdźcy, popędził w dal, a za nim gonili rudy „szczęśliwych“ kolegów i szyderczy głos p. majora:

„Do wi-dze-nia, do wi-dzen-n-n i-a...“

„Do piechurów, a nie do jazdy, do-wi-dzen-n-n i-a...“

Wreszcie udało się niefortunnemu jeźdźcowi ujarzmić dzikiego(?) konia i przywrócić go do upamiętania.

Następne lekcje, w miarę nabycia większej umiejętności w jeździe odbywały się już spokojniej; czasem tylko okrasil je jaki niewinny epizod, jak: ucieczka konia bez jeźdźcy, przeskoczenie przez kark wierzchowca itp.

Epizody te nie zrażały nikogo, nawet przeciwnie, bawiły. Niestety (o ironjo!), wkrótce zeszły one zupełnie z porządku dziennego. Już po kilku lekcjach, czuliśmy się na koniu zupełnie swobodnie i żaden rodzaj jazdy nie był już dla nas straszny. Stogi p. major nie ma już przyczyn do ganienia, więc lekcje prowadzi zamiast niego p. ogniomistrz.

Bezstronni świadkowie naszej jazdy mówią nam, że jeździmy znakomicie, to też wbiliśmy się w pychę i niedługo marzyć będziemy o tem, aby uczestniczyć w konkursach, zdobywać nagrody, tryumfy...

Krigalis.

Z wakacyjnej wycieczki (Nowogródek-Switeź).

Cz. Marciniak.

(Ciąg dalszy).

Następnie zbliżamy się do Góry Mendoga, a opodal pokazują nam trakt napoleoński, któredyś niegdyś, w pamiętnym roku 1812 „konie, ludzie, armaty, orły dniami i nocą“ płynęły. Najwspanialszym zabytkiem Nowogródka jest Zamek, pamiętający i koronację Mendoga. O tym to Zamku wspomina Mickiewicz w „Paou Tadeuszu“

...Ty, co gród Zamkowy nowogrodzki ochraniasz...“

Wieczorem o godz. 11-tej, krótko przed spoczynkiem, na życzenie ks. prefekta, udajemy się powtórnie do ruin zamkowych. Gdy tak oparci o złomy muru rozpamiętujemy minioną wieki, dowiadujemy się od ks. pref., że tu działa się akcja „Grażyny“. I rzeczywiście, mając oczy wlepione w ciemną dal na północ i drżąc pod wpływem chłodnego wiatru, zdaje nam się, że jesteśmy w zamku Litawora w owej krytycznej chwili, kiedy Krzyżacy zbliżali się do zamku

Nazajutrz 12-go, po mszy św. we farze, w której w 1799 roku odbył się chrzest Mickiewicza, ks. dziekan nowogrodzki pokazuje, nam metrykę wieszczka. Po krótkim zwiedzeniu miasta i zakupieniu niektórych towarów, gotujemy się do odjazdu w dalszą drogą, do Czombrowa. Gdy z wielkim trudem uzyskaliśmy dwie furmanki, byliśmy pewni, że znajdziemy tam pomieszczenie wraz z pakunkami,

lecz gdy te zajechały, to się zawodzimy: spotykamy się z odmową furmana, który krzyczy, iż więcej ponad 3-ch ludzi nie zabiera. Cóż tedy robić? Widzimy niedomagania tutejszych urzędów. Wobec tego silniejsi idą pieszo, a słabsi jadą.

Wśród tej drogi, kiedy to udało nam się wyprzedzić podwoły, niejednemu nasuwają się myśli o stronach rodzinnych, o Wielkopolsce: niejeden zadaje sobie pytanie, co byłoby, gdyby tak tam urządzono podobną - ycieczkę? Jakże inaczej ona by się przedstawiała! Zapewne dłuższe drogi odbylibyśmy koleją, a gdzie nie możnaby koleją, to wynajawszy wóz, zaprzężony we 2 konie, odbylibyśmy nie gorzej, lecz może nawet przyjemniej dłuższą drogę po pięknym gościncu. Nie mówiąc już o kolejach, których tu na wielkich przestrzeniach brak zupełnie, muszę zaznaczyć, że prócz traktów pokręconych, nie znajdzie tu również przechodzień, drzewami wysadzonej szosy. Pod tym w głędem „kresy“ stoją bardzo nisko. A jaka ciekawa jest tu uprząż! Do matych o drewnianych osiach wózków, zaprzęga się po jednym koniu, bez orczyków, a każdy koń z potężnym łukiem nad szyją. Takich wózków wszędzie pełno: innych nie znajdziesz. Ciekawym, co byłoby, gdyby tak właściano z Poznańskiego, mógł przejechać przypadkowo przez ulicę Nowogródka czy Wilna z piorunującym trzaskiem?

Wśród podobnych rozmyślań i rozmów zbliżamy się do Czombrów (Czombrów, a nie Cząbrów, od słowa zomber starop. żubr). Z dworku czombrowskiego, który według Kallenbacha, najwięcej zbliża się do dworu sędziego w „Panu Tadeuszu“, wyszła zamąż matka Mickiewicza. Wówczas należał Czombrów do Uzłowskich, obecnie zaś do p. p. Karpowiczów. Zaraz po kolacji tego dnia udajemy się do stodoły na spoczynek, który od nowogródzkiego jest znacznie lepszy, bo można zaryć się w miękkie siano.

Trudności o podwoję sprawiają, że na drugi dzień t. j. w wtorek 13-go musimy pozostać do g dz. 4 ej popołudniu w Czombrowie. Przez ten czas mamy możliwość przyjrzenia się bliżej okolicy. Kiedy powózka zajechała, wkładamy tłumoki i ruszamy w stronę owego jeziora, opisanego tak pięknie w balladach Mickiewicza. Wjechawszy do Płużyn ciemnego boru, widzimy pomiędzy szparami drzew błyszczącą powierzchnię Świtezi.

Nad Świtezią jest tylko jedno zabudowanie; tu więc przypada nam nocować w stodole i to dwie noce. Ka. prefekt zapowiada, że tu do zwiedzenia nic niema, każdy może zatem korzystać z kąpielii tyle, ile sobie życzy. To też ochłonawszy nieco, udajemy się do

tej tak dawno oczekiwanej topieli. Tego samego dnia po odczytaniu u brzegu jeziora kilku ballad Mickiewicza, wsiadamy około północy na łódź, chcąc upoić się wrażeniami nocnej przejażdżki. Płyniemy samotni, wśród grobowej ciszy i ciemności nocnej; słychać tylko plusk wiosel lub lekkie szepty żartujących z Świtezianek kolegów. Jedni krzyczą, że ich Świtezianka wciąga do wody, drudzy wioślując jednym tylko wiosłem, wprawiają łódź w ruch wirujący i, strasząc innych, tłómaczą, że stąd się nie wyostaniemy, bo padliśmy w moc Świtezianek, które nas opanowały i przeszkadzają dalej jechać. Oczywiście, że robili to po to, aby zaprzestać dalszej jazdy, bo naprawdę byliśmy o tej porze zmęczeni i zgnębieni chłodem nocy, a po drugie i tak nie dobiliibyśmy do drugiego brzegu z powodu ciemności. To też po półtora-godzinnem błędzeniu z trudem wróciliśmy na pierwotne miejsce, nie dopiawszy celu. W każdym razie, choćby przez samo już przebywanie nad jeziorem, okazaliśmy dużo odwagi, bo aby nocą jechać do jeziora, trzeba być najśmielszym z ludzi mówi Mickiewicz.

(D. c. u.)

Suset Kr.

Osmołoda.

Jak smur łabędzi na niebie, tak długi rząd broczących w błecie harcerzy, kroczył po trzęsawisku. Po schylonych postawach, po czołach zroszonych obfitym potem i po machinalnych już ruchach można było wnioskować, że od świtu wędrują, by jeszcze przed wieczorem przybyć do celu.

Celem tym była Osmołoda: nie żadna wielka siedziba, nie wieś, ale las bez końca, piętrzący się po okolicznych górach, który zazdrośnie ukrywał przed całowiekim tajemnicę swego wnętrza.

W takim to lesie, dzikim, strasznym przez swój ogrom i starość, snem śmiertelnych zasypiali harcerze.

Wraz z echem trąbki, siedmiokroć odbitem w górskim otoczeniu, dał się słyszeć daleki, bardzo jeszcze daleki odgłos zbliżającej się burzy.

Stare wiekowe dęby i buki spletem swych konarów opasały male, prawie kracie namioty harcerzy. Kolczasta jeżyca, dołem się wsunawszy, chciała przy śpiących postaciach przepędzić noc; a wiotka lemczynna wyprostowawszy gałązki, z góry zaglądała do wnętrza namiotów. Może i dla niej znalazła się coś miejsca w ciasnej przekłętej burzy?

Burza nadchodziła zdala warcząc jak wściekły pies na łańcuchu. Hordy czarnych chmur gromadziły się na horyzoncie i szwartym sztykiem, skłębione, posuwały się w głąb górskiej kotliny.

A na jej dnie śmiertelnie znużeni spali harcerze. Podwojone dla bezpieczeństwa strażę przeczuwając burzę bez wytchnienia pracowały około pogłębiania rowków. Jeden z pracujących wyprostowawszy się, spojrsał na czarne kłębowisko chmur i rzekł:

„Pisa dziś służba. Dość jesteśmy zmachani jak konie, a tu ta przekłeta burza!... niech ją zaraz szlag trafi! O! i wiatr powstaje, drzewa się zaczynają chwiać. Trzeba uważać, by nam który z tych dębów na łeb się nie zwalił... wyobraź sobie, że wtedy z nas musztarda...

„Prawda, — odpowiada drugi — już wiatr się ruszył, za chwilę będzie ulewa. Ale co to za wiatr! Drzewa się tańczą, a nawet te stare dębiska się chwieją.. Ach! patrz, namiot jeden się odrywa. Trzymaj! bo polecą!”

Wiatr ze straszną siłą wzdymał namioty, które lada chwila mogły pęknąć pod zbyt silnym naporem. Jednak wewnątrz namiotów nikt na to nie zważał. Sen znieczulił wszystkich. Tylko zszajane strażę linami powiązały do drzew namioty, by nie poszły z wiatrem. Sami wartownicy zaledwie mogli utrzymać się na nogach. Wicher rzucał nimi jak jakąś cięższą sztuką drzewa, oni zaś rękami czepiali się kory lub plackiem padali na niemię.

(C. d. n.)

KRONIKA.

Radjo gimnazjalne.

Za staraniem „Kółka Nauk Przyrodniczych“ zainstalowano w naszym gimnazjum radjostację odbiorczą. Już od dwóch tygodni słuchamy wszyscy radjo-koncertów, a pobyt w czytelnii uprzyjemniają dźwięki muzyki z dalekich stron.

Dziela tego dokonało „Kółko Nauk Przyrodniczych“ o własnych siłach, sprzedając karty wstępu w cenie 2,— zł, uprawniające do słuchania wszelkich koncertów radjowych, ci zaś, którzy w powyższe karty się nie zaopatrzyli, placą za każdorazową audycję 10 gr.

Kółko żywi niezłomną nadzieją, że wszystkie uczniowie naszego zakładu zechcą służyć na ten cel 2,— zł i pomogą kółku w jego poczynaniach. Samo założenie odbiornika radjowego to wielki dorobek kulturalny naszego gimnazjum, uprzedniający wszystkim poznanie pięknej muzyki oraz słuchanie wykładów z różnych działów nauki.

A więc poprzyjmy ten cel szlachetny, kupujmy karty wstępu i uczęszczajmy audycje, a tam pozwolimy Kółku Nauk Przyrodniczych pokonać ostatnie trudności związane ze założeniem radja, sobie zaś poszukamy przyjemność i ciekawą naukę.

Jean Jacques.

Z naszej czytelnii.

Od dłuższego czasu odbywają się w naszej czytelnii gimnazjalnej przy T. T. Z rozgrywki szachowe o mistrzostwo gimnazjum. W zawodach biorą udział uczniowie klas wyższych. Wyniki rozgrywek poda się w następnym numerze „Promienia”

Komunikaty i odpowiedzi redakcji.

Kol. Urb. — Krzyżówka dobra, lecz ze względów technicznych umieścić nie możemy.

Dział rozrywek umysłowych

pod redakcją Sława.

0	5	10	15	20
5	10	15	20	25
10	15	20	25	30
15	20	25	30	35
20	25	30	35	40

W powyższym kwadracie wpisać liczby 0, 5, 10, 15, 20 tak, aby suma w każdym rzędzie wynosiła 60. W każdym rzędzie nie może się powtórzyć ta sama liczba.

Za dobre rozwiązanie nagroda drogą losowania. Termin nadsyłania rozwiązań 5. IV. 27.

* * *

Rozwiązanie szarady z nr. 3.

„Szarada Sława”

Dobre rozwiązanie przysłał: „Pajac” (I. nagr.), Z. M. (II. nagr.), L. Hartwichówna, I. Fischerówna, „Fujarka”, „Bobun”.

Kupon Działu Zadań
„Promień” nr. 4.
Wyciąć i dołączyć do rozwiązania.

Cena numeru 30 gr.; abonament kwartalny 75 gr. Adres redakcji: Lech Rowiński Kościelna 11. Prenumeratę przyjmuje M. Knopiński ul. Wrocławska 12 I.

Odbito w drukarni Stefana Rowińskiego, Ostrów (Wlkp.) Kościelna 11.